EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 4 czerwca 1933 R. | NR. 28 (36)

Na krańcach cynizmu

Ludzie którzy milczą

Hodowla Bohunów

Więcej szczerości!

Cześć i klątwa

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Czosnowski. Lukrec. Wasowski. Krahelska. Czarnowski. Milkiewiczowa. Burdecki. Stern.

C

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

»100 LAT POSTĘPU«

Wystawę „100 lat postępu" w Chicago zwiedziło dotychczas zgórą 250.000 osób, by przyjrzeć się pracom przygotowawczym. W przeciwieństwie do innych — wystawa chicagowska nie urządza żadnych konkursów. Producenci, którzy wystawiają swoje wytwory, nie będą obdarzeni żadnemi medalami, czy nagrodami. Wystawa zamierza zilustrować postęp ludzkości na przestrzeni ostatnich stu lat i uplastycznić przykładowo udoskonalenia naukowe w dziedzinie współczesnej produkcji. Jedna z potężnych wytwórni samochodowych urządziła na wystawie całkowite atelier fabryczne, w którem widz będzie mógł śledzić poszczególne etapy konstrukcji od obróbki surowców do wypuszczenia gotowego samochodu. Zwiedzający będzie mógł zamówić zrana wóz, asystować za dnia przy jego produkcji, a wieczorem — odjechać nim.

Wzrok widzów zatrzymują potężne sylwetki budowli nad jeziorem Michigan, które doborem materjałów, kolorów i układem elementów architektonicznych pouczają o najnowszych zdobyczach techniki budowlanej.

Centrum wystawy zajmuje rozległy kompleks urządzeń i budynków, związanych z „Halą Wiedzy", wprowadzającą widza w tajemnice nowoczesnej chemji i fizyki.

Stoisko „Podróży i Transportu" rozciąga się na przestrzeni około dwóch kilometrów w formie olbrzymiej, bezokiennej hali. Sklepienie hali jest pierwszem zastosowaniem w architekturze zasady wiszących mostów. Dach nie posiada oparcia z pod spodu, lecz zawieszony jest na wysoko umieszczonych podporach. Sklepienie wznosi się na wysokość 12 pięter, a średnica jego liczy 60 metrów. Potężne liny, zwisające z kołem rozstawionych, kilkunastometrowych kolumn metalowych, utrzymują dach, który jest najbardziej nowoczesną zdobyczą dzisiejszego budownictwa. Stoisko „Podróży i Transportu" ilustruje ewolucję wszelkich środków komunikacji i przewozu w ciągu ostatniego wieku, zawierając kilka tysięcy eksponatów.

KRWAWY NAWRÓT

Tygodnik paryski *Marianne* poświęcił kolumnę, zatytułowaną „Nawrót barbarzyństwa" — zilustrowaniu średniowiecznych tortur i mąk, stosowanych we współczesnym świecie: „Wszędzie panuje dziś obłąkane okrucieństwo. Prześcigamy ponure czasy średniowiecza".

Fotomontaż rozpoczyna zdjęcie płaskiej, ironicznie uśmiechniętej twarzy bożka chińskiego. Podpis: „Stare okrutne Chiny wyśmiewają dziś białą cywilizację".

A oto poszczególne zdjęcia. Dwóch amerykańskich policeman'ów katuje skrępowanego murzyna, ciskając nim jak nieczułym przedmiotem — o kamienne schody! Podpis: „W Stanach Zjednoczonych uśmiercono na stopniach schodów murzyna, schwytanego na zebraniu bezrobotnych".

Poniżej — fotografja ulicy amerykańskiej. Na bruku — zwłoki młodej kobiety: „Zabita ciosami pałek policyjnych podczas ulicznej manifestacji".

Berlin. Nazi „uprzątają" uczestniczkę meetingu w Lustgarten, stratowaną podczas ucieczki tłumu.

Afganistan. Wysoki dostojnik biczuje przywiązanego do pala, okrytego krwawemi pręgami, człowieka: „Emir Afganistanu rozkazał wybatożyć jednego z ministrów, który popadł w niełaskę".

Daleki Wschód. Klęczy, spętany Chińczyk. Dwóch Japończyków przykłada rewolwery do jego głowy: „Chińczyk podejrzany o to, że był „biały" czy też „czerwony". Żółci go zabijają."

Albanja. Szubienica, z której zwisają zwłoki odzianego w białą, śmiertelną koszulę, młodzieńca: „Niezależne poglądy młodego urzędnika albańskiego ukarane zostały strykiem."

Znów Berlin. Plac „kaźni" między Operą a gmachem uniwersyteckim. Gęsta ciżba. Formacje szturmowe. Sztandary z znakiem swastyki. Dym. Łuna płomieni. Spadające w ogień z rozpostartemi kartkami książki. Zwijające się w bolesnym skurczu zadrukowane stronice. Uroczystość palenia dwudziestu tysięcy książek.

Panoramę fotomontażu zamyka zdjęcie dwóch półkul mózgowych: „Kto uzdrowi chory mózg ludzkości?"

BEZ ODPOWIEDZI

Niemiecki Związek Nauczycielski zwrócił się do zarządu Związku Nauczycielstwa Polskiego z listem „wyjaśniającym", iż „rozszerzane w prasie zagranicznej wiadomości o walkach ulicznych, mordach politycznych, demolowaniu żydowskich przedsiębiorstw w Niemczech są fałszywe", oraz „oficjalnie i wyraźnie" stwierdza, iż „życie obywatelskie w Niemczech idzie normalną i spokojną drogą".

Podając te wyjaśnienia „Deutscher Lehrerverein" prosi, by Związek Naucz. Pol., ze swej strony, wpłynął na to, „aby te kłamliwe wiadomości nie miały dalszego „biegu".

Organ Z. N. P., *Głos Nauczycielski*, oświadcza:

„Ponieważ wiemy, iż stowarzyszenia niemieckie otrzymały od rządu nakaz rozesłania podobnie uspakajających zapewnień do organizacyj społecznych wszystkich krajów, prośbę „Deutscher Lehrervereinu" traktujemy, jako akcję polityki zagranicznej Niemiec, nie mającą nic wspólnego z nauczycielskim ruchem zawodowym i dlatego, aczkolwiek jesteśmy dobrze zorjentowani, co do przebiegu wypadków w Niemczech, na prośbę powyższą nie udzielamy odpowiedzi."

NĘDZA BERLINA

Ankieta o warunkach życia robotniczej dzielnicy Prezlauer-Berg, zorganizowana przez berlińskie „Towarzystwo Polityki Społecznej", zawiera ciekawe cyfry i fakty. Jedno z pytań brzmi: „Ile dzieci posiada własne łóżko?" Na 1316 dzieci, objętych ankietą, olbrzymia większość śpi na zestawionych krzesłach, lub zasłanej pościelą podłodze. Rodzice podawali to posłanie, jako „własne łóżko".

1207 z pośród mieszkań, zamieszkałych przez rodziny złożone z 2 do 10 osób — są jednopokojowe: 144 — składają się z pokoju i kuchni; 810 — dwupokojowe.

Dzieci ujawniają niedorozwój, waga w stosunku do wzrostu nie osiąga normalnego poziomu. Niedomiar wagi waha się w granicach 1 do 4 kg. poniżej normy.

A oto kilka zanotowanych przez ankietę cyfr: — Rodzina pięcioosobowa, z czego dwoje, poniżej 14 lat. Trzy łóżka. Ojciec chory po przebytej operacji. Matka w ciąży.

— Rodzina złożona z 6 osób, z czego troje poniżej 14 lat. Trzy łóżka. Babka i syn — zmarli na gruźlicę. Mieszkanie jednopokojowe, bez kuchni.

— Osiem osób. Pięć — poniżej 14 lat. Matka — chora umysłowo. Córka — gruźliczka. Cztery łóżka.

Jeden z punktów ankiety brzmiał: „Środki utrzymania". Ciągle powtarzają się odpowiedzi podobne: „Rodzina czteroosobowa. Ojciec bez pracy od dwóch lat. Ćwierć kilograma masła na tydzień. Mięso tylko w niedzielę."

„Siedem osób. Ojciec bezrobotny, od 3 lat. Matka i najmłodsza córka chore. Śniadanie: bułki z margaryną. Obiad — bułki z margaryną. Kolacji nie jemy. Masła nie znamy. Mięso — raz na tydzień."

NORDYCKI SHERLOCK HOLMES

Berliner Tageblatt zamieszcza następujące ogłoszenie:

„Informacje, dotyczące chrześcijańskiego lub żydowskiego pochodzenia (zgodnie z ustawą aryjską), a których niezbędność dla celów publicznych, ekonomicznych i prywatnych jest ogólnie uznana dzisiaj, zbiera i komunikuje istniejące od 28 lat biuro wywiadowcze „Welt - Detektiw", Berlin w 60, Teunetzienstr. 5".

Nowy fach, nowe źródło zarobków. Wiek XX-ty!

NIEŚMIAŁA ZAPOWIEDŹ

Wydawnictwo *Berliner Tageblatt* wystosowało do czytelników, którzy przerwali prenumeratę, następujące pismo:

„Pańskie postanowienie przerwania prenumeraty jest dla nas bardzo bolesne. Traktujemy naszych czytelników, jako towarzyszy i przyjaciół, a do korzyści materjanej przywiązujemy małą wagę".

„Opuszczacie nas w niestosownej chwili, gdyż naszą tendencję powrotu do dawnego charakteru „Berliner Tageblatt" — pismo ujawni już w najbliższych dniach".

„Przewrót polityczny stworzył dla dziennika naszego, który posiada znaczne wpływy zagranicą — konieczność obrony Niemiec przed moralną izolacją.

„Sytuacja obecna nie wyklucza jednak pozytywnej krytyki. Idąc za nakazem tradycji pisma, bronić będziemy w przyszłości prawa wolności i równości dla wszystkich obywateli".

„Jesteśmy przekonani, że w pracy naszej spotkamy się ze zrozumieniem rzadu(!) i wkrótce dostarczać Wam będziemy „Berliner Tageblatt", którego lekturę chętnie będziecie kontynuowali".

ZŁE WIDOWISKA

Z drugiej półkuli dochodzą do nas echa coraz to dziwaczniejszych i głupszych zakładów, rekordów i konkursów. Kto najdłużej potrafi stać na jednej nodze? Kto najdłużej usiedzi na drzewie? Kto najdalej wypluje gumę do życia?

Kilka tysięcy durniów gapi się na arenie, jak kilku innych zapamiętale walczy o palmę pierwszeństwa w bezsensownem współzawodnictwie, a jeszcze inni w uroczystych cylindrach sprawują rolę sędziów.

Niedawno odbył się w New-Yorku konkurs wytrzymałości pocałunków. Chodziło o to, która ze stających do zawodów par, w ciągu 10 godzin potrafi zamienić 10 tysięcy pocałunków?

Konkurs został nierozegrany, bo okazało się, że po paru godzinach nieustannego całowania się partnerom popuchły twarze i musieli uciec się do opieki lekarskiej.

Żałosne widowiska zaniku najelementarniejszego zdrowego sensu i poniżenia godności ludzkiej!

Głupota, trywialność i obrzydliwość zgodnie podają tu sobie ręce na wstyd rodzajowi ludzkiemu i współczesnej epoce.

Dopóki wieści o takich ekstrawagancjach dochodziły nas tylko z za oceanu, pogardliwie wzruszaliśmy ramionami, nie interesując się bliżej temi zjawiskami.

Moda, choćby najgłupsza, jest jednak zaraźliwa, zło i kretynizm przesączają się wszędzie najłatwiej i znajdują chętnych naśladowców.

Niedawno w cyrku warszawskim kilkaset godzin trwał konkurs wytrzymałości tańca. Liczne pary ubiegały się o wyznaczoną nagrodę pieniężną. Galerje cyrku trzeszczały pod naporem gawiedzi, która emocjonowała się przebiegiem konkursu.

Te warszawskie „circenses", to już nie było tylko dziwactwo i głupota, ale ohyda i okrucieństwo.

Żadne zdrowe społeczeństwo nie powinno tolerować takich widowisk. Władze przerwały tę ponurą „zabawę", dopiero w trzecim tygodniu. Na przyszłość nie powinny do takich konkursów dopuszczać.

NA POMNIK Ś. P. J. WŁ. DAWIDA

Nakładem „Naszej Księgarni" Związku Nauczycielstwa Polskiego ukazał się w oddzielnej odbitce (z książki p. t. „Psychologja religji") życiorys ś. p. J. Wł. Dawida, skreślony przez Henryka Lukreca. Całkowity dochód ze sprzedaży tej odbitki przeznaczony jest na wzniesienie nagrobka na zaniedbanej mogile ś. p. J. Wł. Dawida na Powązkach w Warszawie. Cena odbitki zł. 1.

W najbliższym czasie zawiąże się komitet budowy tego nagrobka.

HODOWLA BOHUNÓW

W roku bieżącym upływa 50 lat od rozpoczęcia druku sienkiewiczowskiego „Ogniem i Mieczem".

Kilka pokoleń polskich niemal na tym utworze uczyło się czytać.

Wielkiemu talentowi Sienkiewicza, sugestywnej mocy jego talentu, plastyce jego opisów i obrazów zawdzięczamy, że bohaterowie „Trylogji" są najbliższymi naszymi znajomymi, że całem sercem dzieliliśmy z nimi ich dolę i niedolę i dotąd zachowaliśmy w pamięci każdy szczegół z ich życia i czynów.

Niewiele jest dzieł, które poszczycić się mogą nietylko takim zasięgiem przeniknięcia w koła czytelników, ale i takim wpływem na nich, takiem utrwaleniem w ich pamięci odtwarzanych przez się zdarzeń i osób. Działający w „Trylogji" dzielni rycerze i nadobne białogłowy znani nam są wszystkim i odczuwani przez nas niemal, jak postaci historyczne.

Cóż nam dała „Trylogja"? Wskrzesiła pyszne, barwne typy ówczesnych Polaków, roztoczyła przed nami najplastyczniejszą panoramę Polski XVII wieku, niszczonej ogniem i mieczem, zalanej potopem, a jednak w końcu wyłaniającej się, jak szczyt Araratu z potopu ku lepszemu jutru. Per analogiam do czasów, w których się ukazywała — „Trylogja" krzesała więc w sercach otuchę, że i ten potop minie, byle naród zachował prężność wewnętrzną i tężyznę, niezbędną do odzyskania wolności.

To pokrzepienie dusz wizją minionej wielkości i chwały, przy równoczesnym zastrzyku wiary we własne siły i we własną przyszłość narodową miało doniosłe znaczenie i wpływ zwłaszcza na pokolenie, któremu w przyszłości przypadła w udziale zwycięzka walka o Ojczyznę. Jeśli romantyzm utwierdził w Polakach silne poczucie, że „jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy", to Trylogja dopowiadała w ich duszach: „co nam obca przemoc wzięła, mocą odbierzemy".

Epos Sienkiewicza spełniło więc swoje zadanie: rozżarzyło uczucia, zapłodniło wyobraźnię, podsyciło wiarę.

Mickiewicz modlił się w swoim czasie o wielką wojnę ludów, łącząc z tą wojną nadzieję odbudowania Ojczyzny. Wojna ta przyszła, minęła, duch czasu się zmienił, i dziś nikt już nie złoży rąk do takiej modlitwy.

Podobnie rzecz się ma i z „Trylogją". To epos jest apologją wojny. Od pierwszej do ostatniej karty wypełnia je szczęk mieczów, każde zdanie broczy krwią. Wojna jest tu przedstawiona jako żywioł wielki, piękny, wzniosły i trwały, tak niemal niezbędny do życia, jak woda i powietrze.

Czytelnicy — a rekrutują się oni przeważnie z młodzieży szkolnej — podczas długich miesięcy lektury wielkich tomisk „Trylogji" oddychają wyłącznie atmosferą wojny, karmią wyobraźnię i serce obrazami bitew, rzezi, oblężeń i pojedynków, nie dziw więc, że w tym okresie miljon młodocianych czytelników, przeistacza się w miljon Bohunów. Powszechnem jest przecież zjawiskiem, że w tym wieku odczuwamy wszelkie wrażenia tak silnie, że identyfikujemy się z bohaterami czytanych utworów.

Zapewne, są to metamorfozy chwilowe, ale pewien wpływ na naszej psychice i mentalności jednak często pozostaje.

Jeżeli Słowacki z sarkazmem zarzucił „Panu Tadeuszowi", że idealizuje „wieprzowatość" życia polskiego, to nie bez uzasadnienia chyba będzie obawa, że idealizowanie soldateski z XVII wieku nie jest tym poglądem, jaki należy wszczepić we współczesne pokolenia młodzieży.

Cnoty rycerskie sienkiewiczowskich bohaterów, miłość ojczyzny, poczucie honoru, męstwo, poświęcenie nie równoważą w duszach czytelników destrukcyjnego pod pewnym względem wpływu nastroju i ducha całości utworu, ani tem bardziej poszczególnych fragmentów, z bezlitosnym realizmem obnażających całą ohydę ówczesnego okrucieństwa, jak np. scena wbijania Azji na pal.

Czytelnik Trylogji tak się otrzaskuje z wojną, tak się oswaja z jej koniecznością i przesyca specyficzną jej atmosferą, że na negację jej, a choćby krytyczną refleksję, co do towarzyszących jej przejawów barbarzyństwa nie ma już miejsca. Wraz z uwięzionym Zagłobą z całą satysfakcją rąbie jednego po drugim kozaków, wspinających się po spisach na strych chlewku, wraz z Podbipiętą ścina jednym zamachem zerwikaptura trzy łby tatarskie i tak mu to gładko idzie, jak zjeść kromkę chleba z masłem.

Czy hodowla Bohunów jest nadal patrjotycznym nakazem chwili?

Jeżeli szczerze pragnie się pokoju, odżegnywa się od wojny, ba! nawet uroczyście, publicznie piętnuje się ją jako zbrodnię międzynarodową, to przedewszystkiem wzrastające pokolenie należy wychowywać w awersji do niej i w zrozumieniu całego ogromu jej potworności, a temu celowi nie służy ani traktowanie nauki historji, jako dziejów wojen i grabieży, ani wciskanie do rąk młodzieży i podrzucanie „pod strzechy" takich utworów, które wojnę wynoszą na najwyższy piedestał, wzniecają w sercach zapał do niej i do jej rydwanu wprzęgają — wszystkich czytelników.

„Ogniem i Mieczem" jest eposem walk polsko-kozackich. Na wschodnich rubieżach dzisiejszej Rzeczypospolitej współżyjemy w ramach jednego państwa z narodem ukraińskim — spadkobiercą kozaczyzny. Na tych ziemiach o ludności mieszanej lektura tej powieści przez czytelników niedojrzałych, młodzież i półinteligencję, oprócz wspomnianego już powyżej ujemnego wpływu ogólnego, nie przyczyni się do zgodnego współżycia przedstawicieli obu narodowości, np. na terenie szkolnym, lecz zaognić może lokalne antagonizmy narodowościowe, gdy mały Polak pod sugestją Sienkiewicza zacznie traktować kolegę Ukraińca, jak Wołodyjowski Bohuna i naodwrót.

Nie jest bynajmniej moim zamiarem podawać w wątpliwość wartości Trylogji. Gdyby jej nie było, literatura polska byłaby uboższą o arcydzieło najwyższej miary, a naród polski byłby pozbawiony jego wpływu w okresie, gdy bodźca tego potrzebował. Ale — czasy się zmieniają, a wraz z niemi zmieniają się i poglądy na pożądane i niepożądane wpływy, zmienia się psychika ludzka.

W 50-tą rocznicę rozpoczęcia druku „Ogniem i Mieczem" przewidywać można nowe, tanie wydania i akcję propagandową, mającą na celu rozpowszechnienie tego utworu wśród najszerszych warstw czytelników.

Mam zastrzeżenia, czy akcja ta nie powinna się zatrzymać u wrót szkolnych. *St. Czosnowski*

NA KRAŃCACH CYNIZMU

Współczesny kataklizm gospodarczy, wywołuje patologiczne procesy w życiu politycznem, społecznem i kulturalnem. Tak np. psychoza nacjonalistyczna w postaci hitleryzmu jest bezpośrednim skutkiem zaburzeń w organizmie Niemiec i skutkiem głębokiego zakłócenia jego normalnych czynności. W czasie rozkwitu kapitalizmu, w okresie podnoszenia się stopnia cywilizacji materjalnej wyłączone byłyby także nagłe spadki kultury duchowej na dno barbarzyństwa, jakie widzimy w chwili obecnej i takie bezceremonjalne obnażanie postaci kanibalizmu hitlerowskiego. Nie zwiędłyby też tak szybko listki figowe bojaźni bożej i dobrych obyczajów. Miarą ruiny gospodarczej kwitnących doniedawna Niemiec jest dzisiejsza ponura cyfra sześciu miljonów bezrobotnych, miarą zaś upadku kultury i miarą natężenia barbarji moralnej są płonące stosy w sercu stolicy, obracające w popioły przed Operą wielkie symbole ducha i myśli w ojczyźnie Goethego, Kanta i Beethowena.

W ulu pszczelim, dotkniętym zarazą zgnilca, ustaje przyrodzony, uporządkowany i zharmonizowany system pracy, całkowicie rozkłada się w zaduchu zgnilizny całe życie ula. Winę zarazy zgnilca w Niemczech dzisiejszych ponosi nie tylko sam hitleryzm, który jest wytworem rozkładu epoki, ale nie mniej także te żywioły postępowo-rewolucyjne, które umożliwiły i wyzwoliły siłę zarazy. I to są te same żywioły, które w 1914 r. zgłosiły swój akces do wielkiej wojny w imię chimerycznego dobrobytu po wojnie, które w 1918 r. w czasie swego panowania przeprowadzały odbudowę kapitalizmu dla późniejszej socjalizacji „na zimno" i które ostatnio znów odkładały rozprawę z narastającą brunatną reakcją do czasu, kiedy hitleryzm obejmie władzę w państwie. Ta wiara w przychylną siłę naturalnego biegu rzeczy, ta filozofja determinizmu, oparta na niezawodnej rzekomo matematyce dziejów, sama się stała szczepionką zgnilca hitlerowskiego, od którego też dziś ginie socjaldemokracja.

Zbiurokratyzowana siła rewolucji, oparta głównie na sumę mechanicznie łączonych głosów wyborczych, ale wyprana z entuzjazmu i pozbawiona światoburczej treści wewnętrznej, otrzymuje dziś dotkliwą lekcję poglądową ze strony przeciwnej, która osiągnęła rozpęd swojej zarazy nie przez teoretyczne papierowe wyliczenia, ale przez liczne, ruchliwe i czynne bakterje w przyjaznem środowisku, przygotowanem starannie właśnie przez socjalistów. Nie mniej ważną rolę przygotowawczą dla hitleryzmu odegrała Rosja sowiecka przez swoją bierną, pełną wyrachowania postawę zewnętrzną. Poprzednio sam fakt istnienia zorganizowanego czerwonego państwa, oddziałując rewolucyjnie na umysły w Niemczech, stanowił potężną groźbę, trzymającą w ryzach przyczajoną reakcję. Ale w miarę jak bladła groźba nacisku Rosji na rzecz rewolucji w krajach kapitalistycznych, następowało przesuwanie się punktów ciężkości reakcji i związane z tem ustosunkowanie wzajemne żywiołów społecznych. Stosunek sowietów do przewrotu hitlerowskiego zdradzał utylitarny charakter moskiewskiego socjalizmu, dla którego wyrachowania natury finansowej i gospodarczej posiadają wagę nierównie wyższą od wagi moralnej, zasad ideowych.

Gest rządu angielskiego, przecinający wszelkie stosunki z Sowietami z powodu procesu kilku inżynierów angielskich w Moskwie posiada wymowę rażącej wyższości wobec gestów rządu rosyjskiego w obliczu przewrotu hitlerowskiego. Po rozgromieniu bratniej partji komunistycznej w Niemczech przy pomocy wszelkich środków moralnego i fizycznego teroru, po oficjalnem oświadczeniu, które przez krwawą praktykę potwierdzone zostało, że zadaniem hitleryzmu jest wytrzebienie ogniem i żelazem komunizmu i socjalizmu, prasa sowiecka zdobyła się wprawdzie na krytykę rządu Hitlera i zakwalifikowanie go, jako „rządu błaznów, oszustów, prowokatorów", ale zato głowa komunizmu — rząd sowiecki — podpisał w kilka dni potem z Niemcami przedłużenie traktatu politycznego z Rapallo. Żadna sofistyka dyplomatyczna zmienić nie może oczywistości faktu, że Rosja przez ten traktat wspiera politycznie hitlerowskie Niemcy.



Brytyjski rząd kapitalistyczny zrywa stosunki z Sowietami w imię godności i honoru obywatelstwa angielskiego, rewolucyjny zaś rząd robotniczy — wzamian za dzieło łupiestwa i krwawej kanibalskiej rozprawy z komunistyczną partją w Niemczech, dla której Rosja stanowić ma ostoję i obronę, — nagradza „rząd błaznów" wznowieniem przyjacielskiego traktatu. Machjawelizm i kazuistyka dyplomacji ma niewątpliwie swoją wymowę i swoją formalną logikę, ale to są tajemnicze, kunktatorskie szepty, które mają rezonans tylko w zaciszach gabinetów, wielkie zaś zdarzenia mają wymowę życia i rezonans światowy w mózgach i duszach miljonów. I czy setki tysięcy niemieckich współideowców komunistycznych, żyjące dziś pod nisko nawisłą chmurą hitlerowskiego barbarzyństwa zdołają uznać w właściwy sposób tę nową etykę handlujących honorem i towarami przywódców? Czy rozpaczająca Niobe idei socjalistycznej w Niemczech , patrząc na spustoszenia i żniwo śmierci wokoło, zdoła zrozumieć intencje władców na górze Kremlu i znaczenie paktów z jej ciemięzcą?

Henryk Lukrec

„Epoka" jest pismem dla ludzi myślących, którzy pragną pogłębić swój sąd o rzeczywistości współczesnej.

NACJONALISTYCZNY INTERNACJONALIZM

W swych wizjach przyszłości przewidywał niegdyś Wells, że na linjach granicznych wielkich kultur narodowych nastąpi proces asymilacji językowej, który, ogarniając coraz szersze strefy zaplecza, doprowadzi do likwidacji partykularyzmu językowego i wytworzenia się kilku międzynarodowych języków panujących. Zbyt długo, widać, było Wellsowi czekać na urzeczywistnienie tych perspektyw, skoro wraz z Shaw'em, Huxley'em i wielu innymi wybitnymi przedstawicielami kultury angielskiej podpisał orędzie, wzywające narody świata do poddania się międzynarodowej hegemonji języka angielskiego w jego przez prof. Ogdena z Oxfordu uproszczonej postaci. Autorytet protektorów, potężne środki materjalne, jakiemi rozporządza propaganda „Basic English'u" i zręcznie wyzyskiwane resztki nieufności do Esperanta na korzyść „naturalnego" (choć sztucznie urobionego) i imponującego swą olbrzymią rolą cywilizacyjną języka angielskiego — wszystko to wywiera dość silny nacisk ideowy, przejawiający się nietyle w rozpowszechnianiu samego projektu, ile w głosach sympatji, odzywających się m. in. i w Polsce (np. St. Arct w *„Ruchu Słowiańskim"* nr. 2, *Wieczór Warszawski* nr. 70 i t. d.)

Zasadniczą myślą projektu Ogdena jest fonetyczne, graficzne, leksykalne i gramatyczne uproszczenie języka angielskiego, wyciągnięcia zeń „bazy" — 850—1000 elementów, któreby dały możność międzynarodowego porozumienia. W drugiej linji pojawia się właściwa podstawa ideowa projektu: Basic English ma zarazem ułatwiać opanowanie języka angielskiego. Kto opanował trzon języka, mimowoli wciągnie się w pracę nad poznaniem właściwego języka i poprzez narzędzie porozumienia międzynarodowego niepostrzeżenie wejdzie w sferę kulturalnej hegemonji angielskiej.

Basic English ma za sobą ćwierć miljarda ludzi władających językiem angielskim i jakie 150—200 miljonów mówiących jego żargonami, ma za sobą mocarstwową i kulturalną potęgę Anglji i Stanów Zjednoczonych. Czy rzeczywiście zdoła utorować drogę hegemonji anglosaskiej?

Barometrem ekonomicznego, militarnego, czy zwłaszcza kulturalnego wzrostu jakiegoś narodu jest międzynarodowość jego języka. Barometrem świadomości wzrostu — imperjalizm językowy, zjawiający się zwłaszcza w tych stadjach rozwojowych, w których świadomość wyprzedza istotnie osiągalne zakresy. Konieczność kompromisu między celem idealnym a rzeczywistością doprowadza niejednokrotnie do prób przystosowania języka do jego zadań, usprawnienia go przez uproszczenie, zwłaszcza fonetyczne i gramatyczne. W dziejach nowoczesnej kultury europejskiej, w której partykularyzm narodowy idzie w parze z potężnym rozwojem myśli imperjalistycznej, próby te zajmują miejsce wydatne. Zwłaszcza w połowie w. XIX, gdy rozbudzone mieszczaństwo dąży do zjednoczenia narodowego i rozwinięcia młodych sił twórczych kultury kapitalistycznej, niecierpliwy odruch budzącego się imperjalizmu wyraził się w długim szeregu projektów uproszczenia języka narodowego celem przyspieszenia procesu podporządkowania mu narodowości o słabszej dynamice rozwojowej. W pierwszym szeregu idą Niemcy (ok. r. 1840), Anglja (1847), Włochy. W końcu w. XIX i w w. XX do apelu staje Rosja, Szwecja, Hiszpanja, nawet Danja i Holandja.

W pełni rozwoju narodowego dziecięca choroba projektów zanika. Jeżeli wpływ kulturalny nie idzie w parze z rozwojem dążeń imperjalistycznych, następuje faza propagandy języka własnego. Dążenia reformatorskie natomiast przejmują narody obce, a stojące pod wpływem danej kultury i we własnym interesie dążące do ściślejszego z tą kulturą zjednoczenia, a zarazem utrwalenia swego stanowiska przez międzynarodowe utrwalenie jej wpływów. Zwłaszcza język francuski, w w. XVIII i znacznej części XIX dzierżący międzynarodową hegemonję kulturalną i angielski, który w drugiej połowie w. XIX pretenduje do międzynarodowej hegemonji gospodarczej, pociągają szereg reformatorów niemieckich, rosyjskich, włoskich, holenderskich i t. d. i t. d.

Jedynie w okresie wielkiego napięcia idej imperjalistycznych, gdy jednocześnie potężnieje opór środowiska zewnętrznego, gdy ponownie w całej rozciągłości występuje niewspółmierność między celem a środkami, ponownie zjawia się w danym narodzie myśl o reformie i uproszczeniu języka. Dlatego np. w Niemczech okres wojny światowej zaznaczył się w dziedzinie interlingwistyki szeregiem projektów „Weltdeutsch'u" (m. inn. słynnego uczonego, Ostwalda), które zamarłszy po wojnie, znowu zapewne odżyją w Niemczech hitlerowskich, nie na żarty zabierających się do prześladowania ruchu esperanckiego.

Trzecim etapem jest okres upadku wpływów danej narodowości. Wówczas na gruncie międzynarodowym rzuca się na szalę nietylko inicjatywę społeczną, ale i cały autorytet państwa, jak np. Francja, która w obronie „preponderancji" języka francuskiego, w r. 1922 w Lidze Narodów wywarła niesłychanie silny nacisk na komitet Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej, by uniemożliwić rezolucję proesperancką. Inicjatywa społeczna natomiast niejednokrotnie wyraża się w znanym nam już kompromisie między celem a możliwościami imperjalizmu językowego — w projektach uproszczenia języka celem przystosowania go do zadań międzynarodowych. Ale to, co niegdyś było chorobą dziecięcą młodego imperjalizmu, teraz jest prośbą o pokój. Ten okres przechodziła np. Francja na przełomie w. XIX i XX, kiedy wyraźny już upadek jej hegemonji kulturalnej wyraził się w reformistycznych projektach Francuzów (Bohin, Arduin, Chappaz), pragnących ratować międzynarodowe znaczenie swego języka, w projektach, posuwających się nawet do ugody z językiem angielskim.

Te wszystkie stadja — od projektu Bredshaw'a w r. 1847 po Basic English Ogdena — przechodziła i sprawa języka angielskiego. Orędzie angielskiej elity kulturalnej jest wyrazem obawy przed załamaniem się hegemonji angielskiej. Nic dziwnego — sytuacja staje się coraz trudniejsza. W Azji język rosyjski z trzech stron otacza strefę wpływów kultury angielskiej i coraz bardziej zacieśnia swe kleszcze, utrwalając się (poprzez rozwój kultur narodowościowych!) na peryferjach, zbliżając się ku granicom Indyj, wdzierając się do Chin jako język kultury antykapitalistycznej. Jednocześnie, rozbudzony ruch narodowy w Indjach grozi poważną opozycją

przeciw kulturze angielskiej. Spotężniała Japonja przeciw angielszczyźnie wysuwa japońszczyznę u siebie, a Esperanto w stosunkach międzynarodowych. W Ameryce Południowej niespodziewany a silny rozwój nacjonalizmu hiszpańskiego, poparty i żywiony przez ruch odrodzeńczy starej metropolji, stwarza nastroje wrogie angielszczyźnie, reprezentowanej w pierwszej mierze przez Stany Zjednoczone Am. Półn. W Afryce napór gospodarczy Francji i polityczny Włoch odpycha wpływy kulturalne Anglji coraz bardziej na południe. W Europie poważnie osłabły prądy proangielskie w krajach Skandynawskich, Szwecji zwłaszcza. Ratować ma je kompromisowy projekt Ogdena.

Czy jednak urzeczywistnienie jego jest możliwe? Zgóry odpowiedzieć można przecząco. Żaden język narodowy — nawet w jego formach kompromisowych — nie jest możliwy jako międzynarodowy, jeżeli nie opiera się na absolutnej przewadze sił gospodarczych i kulturalnych. Takiego języka dziś niema — niema go już od połowy w. XIX, od narodowościowego rozbudzenia Europy, od rozbudowy społeczeństwa mieszczańskiego, które obaliło francuską międzynarodówkę kultury arystokratycznej.

Co więcej, język angielski najmniej bodaj ze wszystkich języków nadaje się do eksperymentów reformistycznych. Uproszczenie języka angielskiego może iść w dwóch kierunkach: fonetyzacja ortografji celem ułatwienia słuchowego i ustnego opanowania języka, lub przystosowanie wymowy do ortografji celem zachowania międzynarodowego brzmienia pierwiastków o międzynarodowym aspekcie graficznym. W pierwszym wypadku język najzupełniej zatraca międzynarodowość swego aspektu graficznego (np. projekt Melville-Bell „World English" 1888), w drugim — staje się niezrozumiały dla Anglika, w obu zaś wypadkach pozostaje językiem obcym, niewiele ułatwiającym nauczenie się języka angielskiego. Najlepszy z tych projektów, A. Starczewskiego (Petersburg 1889), pod wielu względami wyższy od projektu Ogdena, próbujący kompromisu między sprzecznemi tendencjami, w rezultacie dał tylko reformę ortograficzną z nieśmiałą próbą usunięcia nieregularności gramatycznych, wypaczył specyficzne formy angielszczyzny, zachowując jej braki organiczne. Projekt Ogdena, jak powiedziałem, bynajmniej nie stoi na wyższym poziomie — odznacza się jedynie sporą dozą blagi. Szumnie zachwalana zawartość leksykalna jest tylko złudzeniem i by na Basic English przetłómaczyć choćby artykuł dziennikarski, trzeba znać nietylko Basic English, ale też opanować zasoby leksykalne języka angielskiego. Jedynie przyjęcie aglutynatywne struktury Esperanta dałoby językowi bogactwo leksykalne przy szczupłości materjału słowotwórczego. Ale wówczas projekt wkroczyłby na drogi międzynarodowego języka sztucznego.

Cóż dziwnego, że w tych warunkach propaganda Basic English'u, mimo olbrzymich nakładów, nie może się poszczycić żadnemi sukcesami? — Że — wręcz przeciwnie — przynosi dotkliwy uszczerbek sprawie języka angielskiego. W Norwegji, która w r. 1925 w Lidze Narodów wystąpiła (wbrew opinji delegata angielskiego, lorda Cecila!) przeciw Esperantu z żądaniem uznania języka angielskiego za międzynarodowy, pierwsza fala propagandy Basic English'u zachwiała autorytetem angielszczyzny. W Szwecji — spowodowała jedynie silny wzrost liczbowy ruchu esperanckiego. W Niemczech przebrzmiała bez echa. W Japonji wywołała głosy krytyczne, interpretujące orędzie neoanglistów jako rezygnację i przyznanie się do porażki. W Polsce — jak zwykle — echo odezwało się słabe i spóźnione. Basic English, Fransezin, Universal-Italiano, czy Weltdeutsch sprawy nie rozwiążą. Język międzynarodowy nie może być wyrazem imperjalizmów narodowych, lecz kwintesencją międzynarodowego dorobku międzynarodowej kultury.

ODGŁOSY

CZEŚĆ I KLĄTWA

W artykułach o masonerji, zamieszczonych dotychczas w „Epoce" czytelnicy znaleźli szereg nazwisk wolnomularzy, otaczanych czcią powszechną.

Niejeden z czytelników zastanowił się zapewne nad pytaniem: czemu szkaluje się wolnomularstwo polskie, darząc jednocześnie czcią i uwielbieniem najznakomitszych masonów? Odpowiedź prosta: jedni nie wiedzą, drudzy zatajają prawdę, jeszcze inni — kłamią.

Dlatego tłumy mogą ze wzruszeniem przechodzić koło pomnika ks. Józefa Poniatowskiego, masona, a jednocześnie przeklinać masonerję. Dlatego miljony śpiewać mogą „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do polskiej", a jednocześnie ze zgrozą myśleć o masonerji, choć legjony masona gen. Henryka Dąbrowskiego wkroczyły do Ojczyzny ze sztandarami, na których obok godła państwowego były umieszczone symbole wolnomularskie. Dlatego szerokie warstwy narodu obchodzą uroczyście rocznicę Konstytucji 3-go maja, jednocześnie wzdrygając się na myśl o masonach, choć ta Konstytucja była w wielkim stopniu dziełem wolnomularstwa. Tym faktom żaden uczciwy historyk zaprzeczyć nie może. Są na to dokumenty liczne i niezbite.

Do wymienionych już w „Epoce" wielkich postaci można dodać sporo innych.

W „Sprawozdaniu z czynności i posiedzeń Polskiej Akademji Umiejętności" (Tom XXXIV, nr. 8 z października 1929 r.) znajdujemy pracę dr. Emila Kipy p. t. „Z dziejów masonerji w Polsce". Czytamy tam:

„Badanie historji masonerji na terenie polskim nie wyczerpuje zagadnienia. Pozostaje do zbadania udział Polaków w organizacjach masońskich zagranicznych. Nie mogąc kusić się o dokładność, pozwolę sobie na parę przykładów.

„Na pierwszy plan wysuwa się osobistość króla Stanisława Leszczyńskiego, filozofa dobroczynnego, znakomitego statysty, a zarazem „ojca wolnomularstwa lotaryńskiego". Co za perspektywy otwiera ocena jego działalności pisarskiej i społecznej z tego punktu widzenia. Późniejszy chronologicznie jest Tadeusz Kościuszko. Do masonerji należy od lata 1779 r. Nie brak jego nazwiska nigdy, gdy mowa o masońskiem otoczeniu Waszyngtona, a ostatni historyk udziału masonerji w rewolucji amerykańskiej, Sidney Morse, wprost nazywa Kościuszkę bratem. Masonem był też Pułaski."

Przy każdem z tych wielkich nazwisk nasuwa się przecież wniosek nieodparty: straszliwie kłamać muszą oszczercy masonerji polskiej, skoro ma ona w swych dziejach tyle najznakomitszych postaci.

J. W.

WIĘCEJ SZCZEROŚCI W DYSKUSJACH O RODZINIE

W *Kurjerze Warszawskim* ukazała się notatka o moim artykule na temat przeobrażeń w rodzinie współczesnej i w roli kobiety. (Artykuł ten wchodzi w skład zbiorowego wydawnictwa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie p. t. „Życie gospodarcze a ekonomika społeczna"). *Kurjer Warszawski*, wzmiankując o niezgodności pewnych moich zapatrywań (wymienione: na akcję Boy'a, na regulację urodzeń), z postulatami obozu katolickiego, podnosi konieczność poważnej analizy zagadnienia przez obóz katolicki, celem uniknięcia tej sytuacji, że zagadnienie rozwiąże obóz radykalny.

Będę istotnie rada, jeżeli broszura moja zapoczątkuje szczere i otwarte rozważanie zagadnienia rodziny również w obozie katolickim. Szczerość i otwartość w traktowaniu zagadnień społecznych dopomoże przedewszystkiem do wyzbycia się różnych fikcyj i złudzeń. Bo czyż naprawdę da się twierdzić, że obóz katolicki odrzuca w istocie zasadę regulacji urodzeń? Jeżeli zadowolimy się zewnętrznym wyrazem „credo" obozu katolickiego w tej kwestji, no to jest tak, że się tę zasadę potępia. Ale w życiu? Zasadę tę stosuje obóz katolicki równie dobrze, jak radykalny: rozstrzyga tu tylko kwestja środków materjalnych środowiska i osoby. Katoliczki wierzące i praktykujące równie dobrze, jak osoby radykalne (czy też lepiej — bezwyznaniowe), o ile tylko należą do sfery zamożniejszej, oddawna już stosują w życiu zasadę regulacji urodzeń: mają tyle dzieci, ile życzą sobie mieć.

Istotniejszą, gdy idzie o tę broszurę, jest kwestja poglądu na rolę czynnika gospodarczego w kształtowaniu stosunków rodzinnych i małżeńskich. Tu mogą być zasadnicze różnice, wynikające z odmiennych światopoglądów. W notatce mówi się, iż materjał przezemnie zgromadzony, należy rozważyć pod kątem obrony rodziny chrześcijańskiej. Takie postawienie rzeczy spotkałam na Zachodzie Europy już przed kilku latami. Działalność organizacyj chrześcijańskich na Zachodzie posuwa się już od lat bardzo wyraźnie w tym kierunku. W roku bieżącym zwołuje się wielki kongres katolickich kobiet, pod egidą Kościoła katolickiego, dla rozważenia tej samej kwestji: jak zwrócić kobietę rodzinie, dziecku i domowemu ognisku?

Uważam całą tę akcję za zupełnie beznadziejną. Zaznaczyłam wprawdzie w książce o pracy kobiet w przemyśle współczesnym, pisanej w dużej mierze w oparciu o materjały i obserwacje z podróży Rokfelerowskiej do krajów Zachodnio-europejskich, — że staraniom organizacyj chrześcijańskich przyświeca dużo uczciwej troski o rodzinę robotniczą. Temniemniej i wtedy już, a teraz z każdym rokiem silniej, występują sprzeczności, uwikłane w tej całej akcji, przeszkody, trudności nie do pokonania, wyrastające na drodze jej realizacji. Stawiam rzecz zupełnie szczerze Świat katolicki i świat chrześcijański, jeżeli istotnie serjo pragnie zwrócić kobietę domowi, musi stoczyć zasadniczą i bezwzględną walkę za światem kapitału, poprostu z ustrojem kapitalistycznym: odebrać produkcji gospodarczej udział kobiety, pracownika tańszego, dogodniejszego, pod wszelkiemi względami lepiej się kalkulującego. Na taką walkę, w mojem przekonaniu, świat chrześcijański i katolicki nie pójdzie. Nie potrzeba mi tu cytować głosów encyklik papieskich, głosu biskupa Kubiny w Polsce, bo wszystkie te posunięcia znam i śledzę to niewątpliwe i nieuniknione radykalizowanie się obozu katolickiego, jakiego jesteśmy świadkami już od lat kilkunastu. Kościół, olbrzymia, świetnie zorganizowana potęga, w obliczu pęknięć, drgawek i konwulsyj ustroju kapitalistycznego, nie będzie bynajmniej demonstrował jakiejbądź z nim solidarności czy sympatji. Ale od tego bardzo daleko jeszcze do walki, walki zdecydowanej i planowej.

Tymczasem „tertium non datur". Ustrój kapitalistyczny rozbił i rozwalił rodzinę, stwierdzają to encykliki papieskie narówni z marksistami. Dalej następuje różnica zapatrywań. Podług mnie na gruzach ustroju i rozbitej rodziny powstaną inne formy współżycia płci i wychowania dzieci. Kobieta usamodzielni się ekonomicznie od mężczyzny, pracując równorzędnie z nim poza domem; zniknie ekonomiczne podłoże rodziny monogamicznej; — głębokość i żywotność związku pomiędzy matką i dzieckiem przesądzi o trwaniu rodziny w tej formie tak długo, póki nie przyjdzie wychowanie zbiorowe dzieci przez państwo i póki psychika kobiet nie przebuduje się, wraz z nowemi formami życia, w tym kierunku.

Podług Kościoła należy utrzymać dotychczasową formę rodziny — zasadniczą komórkę i bazę operacyjną dla wpływów i działania Kościoła.

To zaś nie da się zrobić bez uszczerbku dla interesów kapitału, wyprowadzającego kobiety z domu do pracy.

Wszelkie więc rozważania pod kątem obrony rodziny, podejmowane przez obóz katolicki, winny wziąć rzetelnie pod uwagę konieczność tego konfliktu. To trudno. Żyjemy w epoce paradoksów: ustrój kapitalistyczny, opierający się całą swą istotą o własność prywatną, dokonał dzieła rozwalenia rodziny monogamicznej, w której powstaniu i rozwoju tkwi pojęcie własności.

Halina Krahelska

REKORDY GŁUPSTWA

Wychodzi w Warszawie ilustrowane czasopismo p. n. *Strażnica*, poświęcone w walce z komunizmem.

Poziom pisma — najniższy. Bzdurstwa, naiwności, fałsze.

Jest to walka wzorowo niecelowa, jako zbyt łatwa do odparcia. Już tylko czytelnicy najciemniejsi i krańcowo naiwni mogą brać tego rodzaju lekturę na serjo.

Polska ma dość powodów, żeby dobrze poznać rzeczywistość sowiecką, żeby się należycie orjentować w przeobrażeniach, jakie nastąpiły u sąsiada, zajmującego szóstą część globu ziemskiego. Trzeba jaknajdokładniej wiedzieć, co się tam dzieje. Trzeba widzieć cienie i światła nowego ustroju, nowych doświadczeń. Pod tym względem w światlejszej opinji następuje u nas zwrot pomyślny: bez względu na taką lub inną ideologję, bogacimy nasze sądy przez sumienną obserwację i uczciwą analizę życia Sowietów. Jedynie w ten sposób możemy ugruntować naszą *odpowiedzialną* wobec Z.S.S.R. postawę.

Parę przykładów „uświadamiającej" akcji *Strażnicy* (nr. 6):

„Nie potrzebujemy chyba pisać o tem, co jest dobrze znanem, że niema dziś kraju na świecie, w któremby położenie klasy robotniczej było tak okropne,

jak w Rosji. Przecież najgorzej płatny robotnik zachodnio-europejski jest bogaczem w stosunku do robotnika rosyjskiego. A i w tejże samej Rosji przed wojną, chociaż robotnik nie miał żadnych uprawnień socjalnych, chociaż nie było ośmiogodzinnego dnia pracy i praw, zabezpieczających jego pracę, o ileż lepiej mu się działo."

Nieprawda.

„Na zapytanie dziennikarza angielskiego, dlaczego w Rosji tak dużo bezrobotnych, jeden z komunistów odpowiedział bez ogródek: „Bezrobocie to odpowiada naszemu planowi. Zwalniamy jednych, by inni lepiej pracowali. Stwarzamy sami umyślnie i planowo bezrobocie".

Niedorzeczność.

„Krnąbrnych specjalistów zagranicznych sowiety zarażają tyfusem".

Ponure bzdurstwo.

„Co zaś do Hitlera, to gdy publiczność moskiewska czytała na pierwszej stronie „Izwiestij" szczegółowe streszczenie mowy Hitlera, w której zostały podniesione katastrofalne skutki stosowania marxizmu w Związku Sowieckim, wpadała ona w prawdziwy zachwyt...

„Istotnie, Hitler zdobył sobie prawdziwą popularność wśród znacznej części mieszkańców Związku sowieckiego, cierpiących na brak żywności."

Rekord głupstwa.

M. Czarnowski

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

»BULA MATARI«

Pisarze dzielą się zasadniczo na dwie kategorje: ci, którzy mają coś do *opowiedzenia* i ci, którzy mają coś do *powiedzenia*.

Jakób Wassermann, jako jeden z najwybitniejszych przedstawicieli tej drugiej kategorji, ma w sobie bardzo niewiele z autora t. zw. „vies romancées". Jeśli zajmuje się historyczną postacią — podchodzi do niej zawsze od strony jakiegoś zagadnienia. W życiu Kolumba uderzył go pierwiastek donkiszoterji, w życiu Stanleya*) dopatrzył się tego samego tem łatwiej, iż uważa, że donkiszoterja cechuje wszystkich wielkich poszukiwaczy i odkrywców.

Pomiędzy przeżyciami Stanley'a i Kolumba istotnie są uderzające analogje. Wystarczy nadmienić, że w ciągu jednej ze swoich afrykańskich wypraw, Stanley jechał rzeką aż 7 miesięcy. Jak marynarze Kolumba, tak jego murzyńscy tragarze i przewodnicy niejednokrotnie buntowali się i grozili, że go opuszczą. Tak samo jak Kolumb, przemawiał do nich w zrezygnowanie ugodliwy sposób, tak samo umiał zawsze swoich ludzi uspokoić i zatrzymać przy sobie. Jednakowo przemawiał Aleksander i Odysseusz. W tych pierwotnych czynach — powiada Wassermann — „występuje prawidłowość pewnych reakcyj duchowych".

Wassermann stwierdza, że ludzi czynu zawsze dotkliwie ściga obraza teoretyków, zwłaszcza gdy ci ostatni utrzymywali, że zamierzenie nie da się wykonać. Kolumbowi nie uwierzono, że odkrył Amerykę, Stanle'owi nie uwierzono, że odszukał Livingstona. Wprawdzie Stanley dożył rehabilitacji, ale była ona gorzka przez swe spóźnienie i niecałkowita, gdyż kłamliwe bzdury, jakie o nim rozsiewano, wsiąkły w społeczeństwo i nie dały się niczem wyplenić.

Kolumbowość i donkiszoterja Stanley'a, były to momenty uboczne. Wassermanna interesuje tym razem zagadnienie bardziej ogólnoludzkie. Idzie mu o to, że między działaniem, a życiem psychicznem brak równowagi i że ów brak niszczy ludzi czynu w sposób wręcz tragiczny. Sprawdza się to na każdym człowieku, którego działalność nagle się urywa. Od tej chwili zaczyna się jego psychiczna degradacja, rzec można — rozpoczyna się bolesne konanie.

Drogą bezpretensjonalnego wyliczania faktów — Wassermann dał wspaniały obraz człowieka. Aktywność Stanley'a jako podróżnika i jako dziennikarza, była kolosalna, bez miary. Jaknajbardziej oszczędne, niekiedy do telegraficznych skrótów podobne opisy charakterystycznych wypadków z jego życia zajęły gruby tom.

Niektóre z opisanych wypadków mają gorzki posmak współczesności. Kiedy Stanley miał 6 lat (był nieprawem dzieckiem i sierotą) — rodzina oddała go do jednego z ówczesnych, angielskich „domów wychowawczych" znanych z opowiadań Dickensa. Wychowawcą był tam górnik z kopalni węgla, który zajął się pracą pedagogiczną na skutek utraty ręki. Pewnego dnia rozeszło się wśród chłopców, że umarł ich ulubiony kolega. Poszli do trupiarni, ściągnęli całun i zobaczyli „ciało koloru ołowiu, pobrózdowane w czarne pasy". Dopiero po szeregu podobnych bestjalstw ujawniło się, że bezręki nauczyciel jest poprostu ciężko obłąkany. Czytając te koszmarne opisy, trudno nie pomyśleć o nie tak znów dawnej sprawie Studzieńca.

Gdy Stanley miał lat 20 (był już oddawna w Ameryce) — poszedł na wojnę jako ochotnik, żeby nie uchodzić za tchórza. Ta próba dosłownie ogniowa zahartowała go, pogłębiła jego sądy. Zobaczył „salto mortale" wszystkich zasad moralności. Jego wrodzony humanitaryzm przechodził katusze. O bitwie pod Shilo Stanley pisze: „Było to pierwsze, t. zw. pole chwały, które widziałem w wiośnie mego życia, pierwszy raz zdjął mnie jego odrażający widok. Myśli moje podążyły wstecz ku dniom, gdy każdy z tych ociekających krwią i gnijących trupów był przedmiotem tkliwej miłości matki i rozumnego przywiązania ojca — przedmiotem czułej troskliwości, która nie pozwalała nawet dotknąć się brutalniej delikatnego ciałka dziecka. Ileż trudów następnie nauka jego kosztowała, ile ofiar, ile nieodzownych urządzeń państwowych. A potem oto, wskutek fatalnego zbieku okoliczności, odpowiedzialni kierownicy państw, przyglądający się wojnie z bezpiecznej odległości, posłali tę kwitnącą i obiecującą młodzież na rzeź, żeby się wzajemnie mordowała".

Cytując Stanley'a Wassermann powiada: „Ma się niekiedy wrażenie, że się słyszy słowa jednego z wielkich apostołów pokoju, ucznia Tołstoja, lub Romain Rollanda, na dziesiątki lat przedtem, nim oficjalne jatki ludzkie, wojną zwane, zdemaskowane zostały przez duchy wyżej rozwinięte, jako zwykłe zbrodnie".

Podczas swej drugiej wyprawy afrykańskiej — Stanley, tytułowany przez tubylców „Bula Matari" (łomca skał) — miał nieostrożność zdradzić się, że

*) Jakób Wassermann, „Bula Matari" — Życie Stanley'a. — Przełożył K. Bł. Str. 369. Warszawa 1933. Towarzystwo Wydawnicze „Rój".

prowadzi dziennik. Murzyni nazwali zeszyt „Tora-Tora" i patrzyli nań z ukosa. Pewnego dnia mieszkańcy kraju Mova zjawili się uzbrojeni od stóp do głów. Widzieli, jak biały człowiek wpisywał do „Tora-Tora" znak. Kapłani wytłomaczyli im, że od tego banany pognią, kobiety uschną, a kraj opustoszeje. Żądają więc natychmiastowego spalenia na stosie złowrogiej, zaczarowanej rzeczy. W razie odmowy wypowiedzą wojnę. Są gotowi, mogą się zacząć bić. Na szczęście Stanley posiadał stary tom Szekspira, który spalił uroczyście. W ten sposób udało mu się uratować swój cenny dziennik.

Opisując tę scenę Wassermann nie przypuszczał, że wkrótce po ukazaniu się jego książki, inni, straszniejsi barbarzyńcy będą w ten sam sposób palili jego własne dzieła. Analogja jest tem ściślejsza, że zarówno Szekspir, jak i współcześni pisarze na tem nie ucierpieli.

Nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, czem było przedzieranie się przez dżunglę afrykańską przeszło 60 lat temu. Szukając Livingstona, Stanley dostał w ciągu 13 miesięcy 23 ataków febry. Choroba ta nie opuściła go już nigdy całkowicie. W pochodzie nietylko ubranie szło w strzępy, lecz skóra twarzy pękała, gałęzie zadawały głębokie rany cięte, kolce aloesu kłuły najboleśniej, żrące rośliny ocierały się o ciało, które w następstwie pokrywało się wrzodami.

Obcowanie z tak straszliwą przyrodą musi oduczyć od teatralności. Gdy wyprawa osiąga wreszcie cel, gdy stary, schorowany człowiek zostaje odnaleziony przez drugiego, równie wynędzniałego człowieka — powitanie tych dwojga ludzi może brzmieć tylko w sposób najprostszy. Słynne pytanie Stanley'a „Mr. Livingstone, I presume?" i odpowiedź Livingstona: „Yes" — które zdumiewają od lat sześćdziesięciu — wydają mi się więcej, niż zrozumiałe, a zarazem — pełne powagi i dostojeństwa. Te najprostsze ze słów olbrzymieją zwłaszcza w zestawieniu z napuszoną mową białych osadników, którzy zapewniali Stanley'a po analogicznych trudach, że się „dzielnie spisał".

Jak wiadomo — Livingstone uchodził powszechnie za fanatycznego geografa, który poświęcił życie na poszukiwanie źródeł Nilu. Przeciw tej, psychologicznie niczem nieumotywowanej legendzie — Wassermann gorąco protestuje. Geograficzny cel stanowczo nie pokrywał się z ofiarami, jakich wymagał. Wydaje się on tem niemożliwszy, że, razem z dyplomem lekarza, Livingstone uzyskał dyplom kapłana i bardzo gorliwie oddawał się nawracaniu murzynów, którzy darzyli go ślepem uwielbieniem. Zagadkę męczeńskiego życia Livingstona — Wassermann rozwiązał bardzo prosto, zestawiając go ze świętym Aleksym, który pielgrzymował do pustyń i umarł w końcu jako żebrak pod schodami własnego domu, niepoznany przez nikogo. Tak samo Livingstone — umysł nawskroś kontemplacyjny — musiał ślubować samotność, ubóstwo, niedolę i tajemniczość swej ofiary. Analogja bardzo przekonywująca.

Obcowanie z Livingstonem wywarło na Stanley'u tak przemożny wpływ, że postanowił po jego śmierci dokończyć jego geograficznego dzieła. W ten sposób w półtora roku potem znalazł się ponownie w samem sercu Afryki. Bez szaleństwa nadludzkiego czynu i bez tej dziwnej ziemi już nie pojmuje życia. To też, gdy umiera w Anglji, otoczony rodziną i w blasku sławy — czuje się straszliwie samotny i umie powiedzieć tylko słowo „dosyć". Tak samotnym był całe swoje życie. Wśród czarnych był obcy, jako biały, wśród białych czuł się zupełnie dziko. Jest zatruty Afryką. Afryka jest w nim.

Magiczny wpływ „Wielkiego Serca Afryki" zawładnął i Wassermannem. Mówi on, że myśli o Afryce, jak o jakiejś odmiennej rzeczywistości, na jakiejś odległej, nieznanej planecie. Już w pierwszej części „Etzla Andergasta", zwanej w polskim przekładzie „Doktór Kerkhowen" widać nietylko ten wpływ, lecz i wyraźną zapowiedź książki o Stanley'u: jeden z bohaterów powieści — Jan Irlen — wraca z Afryki chory na śpiączkę. W Europie czuje się źle. Nie może się zmieścić w ciasnych ramach europejskich. „Istnieje prawdopodobnie typ człowieka febrycznego, afrykański rytm istnienia" — powiada Wassermann w „Bula Matari". Tę samą djagnozę psychofizyczną można postawić osobie Irlena.

W obydwu tych książkach Wassermann kładzie nacisk na to, co nazywa „prawem spotkania". W „Etzlu Andergaście" śmiertelnie chory Jan Irlen leczy duchowo swego lekarza, doktora Kerkhovena. Taki sam rodzaj transfuzji duchowej dokonywa się pomiędzy Livingstonem, a Stanley'em. Przy zderzeniu się tych dwóch typów ludzkich, jeden gaśnie, a drugi „o siłę zgasłego wzbogacony, wzbija się wyżej i swobodniej". Livingstone umiera, a Stanley podejmuje jego dzieło.

Książka o Stanley'u owiana jest tym samym duchem, co najwybitniejsze dzieła Wassermanna. I tu również zniewala nas nadewszystko ów głęboki i spokojny uśmiech artysty-mędrca.

Marja Milkiewiczowa

KUŹNIA ŻYCIA, CZY KUŹNIA WYKOLEJEŃCÓW?

Kilka miesięcy temu ukazał się na łamach „Wiadomości Literackich", artykuł Boy'a-Żeleńskiego p. t. „Burżuazyjne szlachectwo". Poruszony w owym artykule problem, ma właściwie podwójne oblicze, z których każde należałoby osobno omówić i przedyskutować. Boy-Żeleński słusznie ubolewa nad tem, że matura, czyli dyplom tak zwanego egzaminu dojrzałości kończącego wykształcenie średnie, przyczynił się w zeszłem stuleciu, jak zresztą przyczynia się i obecnie, do wytwarzania kastowości, do tworzenia przepaści społecznych zgoła nieuzasadnionych. Idzie tu o zdemaskowanie bardzo brzydkiego pragnienia wywyższenia się tych osób, które niekiedy dzięki zaletom własnego umysłu, bardzo często atoli dzięki przyjaznym i szczęśliwym okolicznościom zdołały ukończyć z sukcesem zakład średni.

Ta strona zagadnienia pozostanie jeszcze według wszelkiego prawdopodobieństwa długo aktualną, tak długo, dopóki nie zostanie stworzony nowy typ człowieka, szlachetniejszy i niewątpliwie bardziej „współczesny" typ — *homo socialis*. Bo przecież mimo sporów i dyskussyj na temat sensowności egzaminu maturalnego nikt chyba nie sądzi, że w najbliższych latach egzaminy wogóle zostaną zniesione. W tej lub innej formie istnieć będą i muszą szkoły różnego rodzaju i gatunku, które wydawać będą świadectwa i w tej lub innej formie młodzi ludzie składać będą egzaminy. Albowiem szkoła jest pewnego rodzaju maszyną, kształtującą umysłowość młodzieży, prze-

twarzającą ją i produkującą ludzi, nadających się do objęcia stanowisk, przyczem rodzaj owego stanowiska będzie zależny od tego, przez jakie części szkolnej maszynerji przeszedł dany młodzieniec. Na samym końcu procesu produkcji owa maszynerja no i towar idzie w świat. Nabywca towaru, czyli mówiąc inaczej pracodawca, szef, dyrektor lub inna jakaś poważna figura domaga się, aby ta etykietka istniała, bo przecież chce wiedzieć, czy nabytek odpowiada jego wymaganiom. Szkoła wypełnia więc pewnego rodzaju rolę selektora. W tem tylko tkwi sęk, czy szkoła *rzeczywiście* należycie wywiąże się ze swego zadania, czy produkcja młodzieńców „przygotowanych do życia" odbywa się racjonalnie, czy koszt edukacji średniej faktycznie się opłaca.

I oto dochodzimy do drugiego oblicza problemu artykułu pana Boy'a-Żeleńskiego. Jeśli selekcja jest koniecznie potrzebna ze względów choćby czysto organizacyjnych, to oczywiście powinniśmy wymagać, aby ta selekcja była celowa, by faktycznie każda jednostka dostała się do najbardziej jej odpowiadającego zawodu, a równocześnie, aby młode umysły zostały odpowiednio do swych zdolności wykształcone i aby naturalne, tkwiące w nich w zarodku umiejętności i możliwości duchowe, zostały spotęgowane. To już nie jest problem ludzkiej pychy i zarozumiałości, to jest zagadnienie, które w istocie swej zlewa się z problemem reformy nauczania i programu nauki szkolnej, z problemem, obecnie bardzo żywo dyskutowanym w kołach pedagogicznych i — co więcej — będącym już w tej chwili przedmiotem bardzo licznych doświadczeń, które niewątpliwie przygotują grunt do radykalnej reformy, jeśli nie powiedzieć — rewolucji dotychczasowych metod wychowawczych.

Uznane dotychczas typy szkół średnich, zwłaszcza klasyczny i humanistyczny, w zupełności nie przygotowują ucznia do zadań, stawianych mu później przez życie. Dotychczas przyjętym, zasadniczym celem nauki szkolnej w gimnazjach było dostarczanie pewnych wiadomości encyklopedycznych, oraz przygotowania do studjów wyższych. Ponadto przywiązywano pozornie dużo wagi do tak zwanych celów „wychowawczych". Cele te starano się zrealizować systemem kazań moralnych, często gęsto stosowanych na lekcjach wszystkich przedmiotów, a szczególnie na lekcjach religji, oraz zapomocą rozporządzeń rady pedagogicznej i sumiennie, choć najczęściej nieracjonalnie opracowanego regulaminu szkolnego. Wyniki naogół w małym stopniu odpowiadały nadziejom. Uczeń opuszczał szkołę świetnie wyszkolony w sztuce sporządzania ściąg i systematycznego oszukiwania, udowadniając wprawdzie niekiedy pewien zasób prymitywnego i jednostronnego sprytu, lecz równocześnie kompletne fiasko etycznych haseł wychowawczych. Istnieją oczywiście wyjątki, ale doprawdy trudno stwierdzić, czy owe wyjątki — może nawet dość liczne — rzeczywiście zapisać należy na dodatnim koncie szkoły, czy też na koncie wpływów pozaszkolnych, domowych oraz doświadczenia życiowego. Bowiem zbyt prymitywne były i są aż do dnia dzisiejszego środki pedagogiczne, jakiemi wychowawcy starają się urzeczywistniać ideały etyczne. Metody te obarczone są zresztą ideologicznie zasadniczym błędem: opierają się o pojęcia i systemy moralno-religijne mocno przestarzałe. Doniosły ten fakt uznać należy za źródło tragedji duchowej wielu „inteligentów", całkowicie niezdolnych do odnalezienia własnego wewnętrznego pionu etycznego w chaosie naszych dni.

Nowa szkoła musi się stać krzewicielką wartości wychowawczych *naszej* epoki.

Przy wyborze materjału i konstruowaniu programów gimnazjalnych doniedawna sfery miarodajne — świadomie, czy też nieświadomie — kierowały się według zasady: naukę szkolną należy odsunąć jaknajbardziej od aktualnych problemów epoki. Wprawdzie od kilkudziesięciu lat wysuwa się hasło nawiązania nauki szkolnej do zagadnień życiowych. Ale hasło pozostawało hasłem, a urzeczywistnienie jego przedstawia się, aż do chwili obecnej, w bardzo problematycznej formie. Sam fakt zachowania w gimnazjum klasycznem, aż do naszych czasów nauki dwóch języków martwych urąga wszelkiemu dążeniu do zaktualizowania programu szkolnego. Wprawdzie mówi się o wpajaniu w duszę ucznia kultury klasycznej za pośrednictwem lekcji tych języków, zapomina się jednak o fakcie, że duchowi helleńskiemu bardziej odpowiada wynalazczy intelekt Edisona i Marconiego, aniżeli prawie, że nieznany w Grecji typ człowieka asocjalnego, narkotyzującego się haszyszem książkowej wiedzy. Warto też wspomnieć o próbach aktualizowania lekcyj przez wynajdywanie pewnych analogji, zachodzących pozornie między stosunkami współczesnemi, a sytuacjami znanemi nam z dziejów starożytnych, względnie średniowiecznych. Nie zwracając uwagi na zachodzące różnice, nauczyciel wysnuwa pewne wnioski,—które oczywiście przeważnie są niesłuszne — miast *aktualizować* problemy starożytne, spacza i *ustarożytnia* problemy współczesne. Bardziej uzasadnione byłoby naodwrót podkreślanie *różnic* zachodzących między dawnemi, a współczesnemi czasami.

Mimo więc pewnych dążności reformatorskich szkoła fabrykuje młodzieńców, znających się doskonale na regułach stosowania *ablativus absolutus i acusativus cum infinitivo*, lecz absolutnie nie orjentujących się w jakże doniosłych problemach socjalnych, ekonomicznych i technicznych swojej epoki. Nawet z nauki historji, która dostarczyć nam może niezliczone przykłady związków zachodzących między postępem techniki i cywilizacji z jednej strony, a postępem kultury, ewolucją ideałów socjalnych i rozwojem stosunków gospodarczych świata z drugiej strony, uczyniono niepotrzebny nikomu pamięciowy balast chronologji wojen i bitew. Każdy maturzysta doskonale orjentuje się w dziejach wojen napoleońskich, lecz nie mógłby nic powiedzieć o wpływie wattowskiej maszyny parowej na losy Anglji XVIII stulecia, oraz na dalszy rozwój stosunków ekonomicznych XIX wieku.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że szkoła, która wyraźnie stroniła od życia, musiała odegrać podrzędną rolę w kształtowaniu się dziejów świata. Szkoła powinna być kuźnią ludzi przeznaczonych do czynów, decydujących o losach narodów i ludzkości; nie znaczy to oczywiście, aby każdy chłopiec musiał opuszczać szkołę jako genjusz, należałoby jednak sądzić, że szanse stania się osobistością wybitną powinny być większe dla chłopca uczęszczającego do szkoły średniej, aniżeli dla chłopca pozbawionego błogosławieństwa szkolnej edukacji. A szansa ta powinna zupełnie wyraźnie dać się wykazać liczbowo na podstawie statystyki życiorysów ludzi wybitnych.

Tymczasem historja ostatnich stuleci uczy nas, że ci, którzy regularnie wdrapywali się po szczeblach „burżuazyjnego szlachectwa", docierali wprawdzie do stanowisk zaszczytnych — wynikało to zresztą w znacznym stopniu z sztucznego uprzywilejowania tych nowych szlachciców, jednakże w zbyt małym stosunku procentowym należeli do ludzi, bezpośrednio, czy też pośrednio kształtujących stosunki polityczno-socjalne i ekonomiczne.

Oczywiście należy uwzględnić, że stawiamy szkole bardzo trudne zadanie. Bo jeśli wysuwamy żądanie, aby szkoła przygotowywała młodzież do „życia", to powinniśmy również dać odpowiedź na pytanie, do jakiego życia, to znaczy do jakich warunków życiowych zmierzać powinno to przygotowanie. Warunki życiowe przecież ciągle się zmieniają, zwłaszcza w obecnych szybkobieżnych czasach. Czterysta lat temu szlachcic wysyłający swego pupila jedynaka na studja do Krakowa zupełnie słusznie domagał się, aby jego syn nauczył się expedite języka kwirytów, bo życie było jeszcze wówczas tak mało skomplikowane, tak nawskroś zamykało się w ramach zagadnień ściśle regjonalnych, że rzeczywiście szkoła mogła się bawić w aplikowanie swoim pacjentom recept mocno starożytnych wiadomości. Ziemia była jeszcze wtedy duża, ludzi na świecie znacznie mniej, niż obecnie i problem gospodarowania bogactwami ziemi przedstawiał się jeszcze wówczas w postaci — powiedzmy — prostego równania z jedną tylko niewiadomą. Nasi dziadkowie pobożnie i uczciwie przystosowywali się do przykazania „crescite et multiplicamini", no i zmultyplikowali się tak gruntownie, że już na końcu XVIII stulecia Anglja stała w obliczu katastrofy przeludnienia, głodu i najskrajniejszej nędzy. Od tego też czasu zaczyna się nowa epoka, która kryje jeszcze w swym łonie tajemnice zawrotnych możliwości i tytanicznego wysiłku, rozpoczyna się epoka maszyn i ujarzmionych sił przyrody. Warunki życiowe odtąd zmieniają się z roku na rok w coraz zawrotniejszym tempie. Życie przestaje być wyjętym z „Płomyczka" rebusikiem dla dzieci poniżej lat ośmiu.

Cóż w tym czasie czyni szkoła?

Nie można zaprzeczyć, że cały szereg świetnych pedagogów już od początku zeszłego stulecia zastanawia się nad reformą programów szkolnych i metod nauczania, ale praktyczne rezultaty ich działalności są de facto znikome. Dziś jeszcze szkoła średnia pachnie średniowieczem. Tymczasem reforma staje się nietylko wskazaną, ale konieczna. Na ziemi wytwarzają się nowe ugrupowania gospodarcze, nowe układy sił politycznych, nowe wyrastają problemy socjalne — a tymczasem młodzież przeznaczona do tego, aby kiedyś zająć stanowisko kierownicze, młodzież, która powinna się doskonale orjentować w zagadnieniach swojej epoki, uczy się nadal *consecutio temporum*, oraz sztuki mnemotechniki na *verba irregularia.* Szkoła, owa cudowna maszynerja, która powinna kształtować przyszły organizm ludzkości, produkuje niezmiennie człowieka cofniętego o dobre 200 lat.

(Dok. nast.) **Dr. F. Burdecki**

LUDZIE KTÓRZY MILCZĄ

NASZA POWIEŚĆ WOBEC POLSKI DZISIEJSZEJ

Pewnego razu Tołstoj, podówczas oficer w służbie czynnej, ujrzawszy, jak kolega jego uderzył żołnierza za jakieś przewinienie służbowe, zapytał go: „Jak panu nie wstyd postępować tak ze swym bliźnim? Czy nie czytał pan Ewangelji?". Na co oficer mu odpowiedział: „A czy pan nie czytał przepisów wojskowych?"

Temi słowami rozpoczyna J. Benda swą znaną książkę „La trahison des clercs" i wydaje się, że trudno byłoby znaleźć bardziej uderzający przykład tej naturalnej sprzeczności, która zachodzi pomiędzy moralnością jednostki, a tem, co nazywa pisarz francuski „moralité nationale". Z tego przykładu też czerpie Benda natchnienie od sformułowania swego aktu oskarżenia przeciwko pisarzom, jako tym, którzy zdradzili człowieka dla Państwa, ewangelją swoją uczyniwszy „regulamin wojskowy". Namiętności, które władają dziś klerkami, są namiętnościami par excellence politycznemi. Patrjotyzm zaś przybiera dziś wyłącznie formę nienawiści. „Le patriotisme est aujourd'hui l'affirmation d'une forme d'âme contre d'autres formes d'âme".

Zdawałoby się, że określenie patrjotyzmu pisarza, jako zdrady jego wobec człowieka, powinno było się spotkać z ostrym protestem właśnie u nas, gdzie literatura z tradycji i własnych natchnień ma charakter przedewszystkiem literatury patrjotycznej. Jednakże w paru pismach, w których napotkałem omówienia książki Bendy, potrafiono pogodzić te sprzeczności ze zwykłą naszym sprawozdawcom słodyczą i niewinnością ducha. A jednak sprzeczności te, utajone we wszystkich wielkich dziełach naszej literatury, dziś szczególnie zyskały na sile. Wydaje się, że wszystkie grzechy naszej literatury współczesnej wynikają właśnie z lęku przed rozwiązaniem tego problematu. Wydaje się, że są one wynikiem zatykania sobie przez pisarza uszu na coraz groźniejszy głos życia, domagający się odeń wyraźnego ustosunkowania się do tej sprzeczności, która zachodzi pomiędzy moralnością indywidualną a moralnością państwową. Problemat wart jest więc, by się nad nim zastanowić.

Oczywiście, nie brak i u nas pisarzy, którzy zajęli w tej sprawie więcej, niż zdecydowane stanowisko i opowiedzieli się za moralnością państwową. Starcia, które pomiędzy pisarzami tymi zachodzą, powstają na tle poglądów na charakter tego państwa, na charakter rządu, ale pisarze ci nie mają najmniejszej wątpliwości co do tego, że taki czy inny, powinien rząd ten być t. zw. „rządem silnej ręki", a moralność jego powinna bez reszty mieścić się w „regulaminie wojskowym". Pisarzów takich mamy wielu, ale to pewna, że nie znaleźlibyśmy w tym obozie nazwiska Żeromskiego, lub z żyjących — Berenta, Struga, Rostworowskiego, Staffa czy Dąbrowskiej. Do drugiej grupy pisarzów należy nieliczna u nas garstka tych, którzy stanęli na gruncie marksowskiego internacjonalizmu, przekreślającego granice państw w myśl idei braterstwa światowego proletarjatu, — i jeszcze mniejsza ilość tych, którzy czynią to samo w myśl ponadklasowego humanitaryzmu, łącząc się wraz z Bendą w swego ro-

dzaju „międzynarodówkę klerków" i z dumą dźwigając lekceważąco nadawaną im nazwę „pięknoduchów".

Jądro jednak polskiej literatury współczesnej (i nietylko polskiej) tworzą niewątpliwie ci pisarze, którzy broniąc patrjotyzmu, nie podpisują się równocześnie pod hasłem: „wszystko — i bez względu na wszystko — dla państwa". Jądro literatury tworzą — niezdecydowani. I kto wie, czy to niezdecydowanie właśnie, to doświadczanie granic pomiędzy dobrem społeczeństwa, a dobrem jednostki, pomiędzy naszą etyką a obowiązkami patrjotyzmu, — nie było u nas dotychczas źródłem najpiękniejszych i najgłębszych natchnień twórczych. Kto wie, czy nie ono właśnie kształtowało głównie moralność mas czytających. I tak, czy inaczej, — ono to właśnie mówiło o żywem poczuciu odpowiedzialności osobistej naszych pisarzów.

Stan tej odpowiedzialności osobistej dzisiejszego pisarza polskiego budzi szczególne obawy. „Zdrada klerków" w rozumieniu Bendy jest u nas jaskrawsza, niż w innych wielkich krajach Europy. Pisarz polski żyje dziś na marginesie życia Polski współczesnej. Czytając ogromną większość dzieł naszych pisarzy, ma się wrażenie, że ten wrzący potok lawy przemian społecznych, w którym skąpane jest dziś najdrobniejsze istnienie ludzkie w Polsce, ich miłosiernie (lub okrutnie) omija. Życie głosem miljona głodnych i wydziedziczonych woła o ich udział, — życie wali pięścią niesprawiedliwości społecznej do drzwi ich mieszkań. Życie przepływa burzą nad nimi, obok nich. Ale oni nie słyszą głosu tej burzy. A raczej: nie chcą usłyszeć. Nic nie wywołuje w nich rezonansu: ani problemat ukraiński i jego oficjalne rozwiązanie — pacyfikacja, ani problemat komunistyczny, ani katastrofa wzmagającego się z dnia na dzień bezrobocia, ani najhaniebniejszy wyzysk i szantaż, stosowany przez baronów kartelowych wobec bezsilnych robotników, — nic! Oczywiście, nie o protesty tu chodzi. Najsłuszniejszy bowiem protest nawet, nie poparty czynem, jest pustym dźwiękiem. Czynem zaś literatury są jej dzieła.

A więc — literatura pod kloszem. Tak banalnie i smutnie możnaby nazwać to, co się u nas dzieje ostatnio w piśmiennictwie. Szklanym murem odgrodził się pisarz polski od tych miejsc, na których krzyżują się drogi jednostki z drogami Państwa. Organizm społeczny Polski i jego problematy, — etyka indywidualna w zetknięciu z etyką państwową — to sprawy, których literatura nasza niemal zupełnie nie zna. I tu trzeba stwierdzić, że jedyną bodaj doniedawna rzeczą w naszej literaturze powojennej, która tej sprawy dotknęła — jest „Generał Barcz". Mniejsza o to, że rzecz powstała przed majem 1926 roku. Konflikt „Dąbrowa—Pyć", konflikt obrońcy godności ludzkiej z apologetą państwa jako „aparatu od brania za mordę", — nie przestał jednak przez to być najmocniejszym akcentem społecznym w naszej literaturze powojennej. Tylko kilka książek mogłoby się rzeczy Bandrowskiego, jeśli chodzi o ten moment, przeciwstawić.

Gdzież szukać przyczyn tego programowego maruderstwa powojennej literatury polskiej w pochodzie kultury światowej? Czyż mamy się skolei i my pocieszać, że jest doskonale, gdyż są „nowe talenty" i daje się skonstatować „wzmożona działalność szeregu pisarzów starszego pokolenia?" Oszczędźmy sobie raczej tej gnuśnej pociechy, i nie starajmy się paroma książkami przydusić omawianego przez nas zagadnienia. *)

Należy stwierdzić, że z chwilą odzyskania niepodległości, utraciliśmy wielką literaturę. Że literatura nasza utraciła te cechy, które są nieodłączne od jej wielkości; najogólniej możnaby przez nie rozumieć problematykę moralną i ideową, walkę nowemi środkami o sprawiedliwość społeczną, o prawa jednostki. Ostatnie wielkie dzieła ideowe, jakie literatura nasza wydala, należy odnieść przeważnie do okresu Młodej Polski. Tam znano tajemnicę tej wielkości, i wiemy, skąd czerpali ją Wyspiański, Żeromski i inni. Czerpali ją z walki z owem złem, które pod najróżniejszemi maskami występując, zawsze kryło w sobie najgłębszą, najbardziej demoralizującą treść przemocy, gwałtu, naginania duszy ludzkiej do automatyzmu. W tem łamaniu się ze złem, lub w organizowaniu się przeciwko niemu, odnajdywano najgłębsze źródła moralne twórczości. Ta walka była próbą odwagi cywilnej i nadawała hart duszy, wspaniałą bystrość — spojrzeniu, siłę — słowu.

Po odzyskaniu i utrwaleniu Niepodległości pisarz polski stanął przed zadaniem nierównie trudniejszem: czekał go obowiązek łamania się z własną polską rzeczywistością, kształtowania jej w myśl własnych marzeń. Ale na to nie stało mu sił. Jeśli są cuda, które wskrzeszają, — to ten największy cud— odzyskanej ojczyzny, odwrotnie, poraził, sparaliżował pisarza polskiego na długie lata. Stoi on niemy wobec najbliższych mu przemian organizmu społecznego i najważniejszych zdarzeń jego życia. Pisarz polski milczy. „Zostawmy politykę dyplomatom i wojskowym", — jak mówił Goethe, który sam zresztą tego nie czynił.

I oto cośmy ujrzeli u źródła, z którego narodziły się grzechy powojennej literatury naszej: skażoną moralność, podwójną moralność pięknych słów i jeszcze bardziej wymownego, choć mniej pięknego, milczenia. Brak odwagi w ujrzeniu problematu i tchórzliwa ucieczka przed jego etycznem rozwiązaniem, paniczna ucieczka pisarzów z tych odcinków frontu społeczengo, na których rozgrywa się dzisiaj walka o nową rzeczywistość polską. Problematy społeczne, jeśli są stawiane, to bądź kompromisowo, bądź poprostu przeinaczane. Ciekawe np. zaszły tu zmiany w stosunku do wsi. Być może, iż nieco załgane, „bajecznie kolorowe" widzenie zagadnienia chłopa zaczęło się już od Młodej Polski. Ale drogą chłopa-symbolu Wyspiańskiego i reymontowskiego chłopa-tytana doszedł Żeromski do swego chłopa w „Turoniu" — i tu był już rozpaczliwy krzyk, tu była wizja tych oczu, które nigdy *świadomie* nie zamykały się na rzeczywistość. Co zrobiono dziś z tem zagadnieniem, o ileż bardziej, niż wówczas, ważnem i dojrzałem? Chłop-tytan zmienił się dziś w „Domu nad łąkami" Nałkowskiej w roślinny, egzotyczny okaz labruyère'owskiego zielnika charakterów, cudacznych odmian gatunku; gdzieindziej zmienia się w goryla. Taki jest ten odcinek żywej rzeczywistości polskiej (jeden z wielu), widziany oczyma elity i zafałszowany jej gustami. Taka jest różnica w ustosunkowaniu się dwóch okresów naszej literatury do jednostki, do t. zw. człowieka pracy, a dziś już częściej — człowieka bez pracy. Za Młodej Polski dawało mu się może zbyt

*) Nie poruszam tu sprawy twórczości publicystycznej. Piszę wyłącznie o naszej powieści.

wiele, czy to dlatego, że nic się jeszcze nie miało, czy to dlatego, że źle mu się odmierzało. Dziś, — dziś się go poprostu zdradza.

Przy sposobności, może warto zwrócić uwagę na to, jak ów amoralny stosunek do praw społecznych jednostki wpłynął na zupełne zerwanie związków naszej powojennej powieści z wielką literaturą zagraniczną. Nie mamy w tej chwili dziesięciu powieści w Polsce, któreby strefą swych społecznych zainteresowań i swym „klimatem" intelektualnym mogły prawdziwie pociągnąć człowieka z Zachodu, lub Wschodu. I ten brak wszelkich więzi, wynikający z niesłychanej wąskości naszej literackiej problematyki, również się mieści na naszych, zamkniętych, jak muchy w szklanym kloszu, pisarzach. Dość przypomnieć sobie niezmiernie żywy i organiczny związek pisarzy Młodej Polski z ówczesną literaturą Zachodu i Rosji, i to bogactwo kulturalne, które jej oni zawdzięczali, ażeby zdobyć jeszcze jeden przyczynek do historji osamotnienia pisarza polskiego w dzisiejszej Europie, — poniżającego osamotnienia, którego z pewnością nie przerwą bankiety i większość przekładów P. E. N.-Clubu.

Takie są, pokrótce wyliczone, grzechy główne współczesnej literatury naszej, — i ich źródła. Wydawałoby się, że powinny one na dobre zniechęcić czytelnika do polskiej książki. A jednak, odnoszę wrażenie, że ten czytelnik ostatnio zaczyna żywiej, niż dotąd, reagować na drukowane słowo, że zaczyna szukać. Jeszcze idzie dzisiaj, siłą inercji, tam, gdzie mu iść najłatwiej. Ale widzę to zupełnie jasno, że w miarę tej dobroczynej intoksykacji słowem, będzie coraz bardziej nieczuły na rzeczy błahe i zacznie szukać w literaturze tych zagadnień które, nieświadomie, dziś już go pchają na drogę niepokoju, niezadowolenia i protestu. Wierzę, mimo wszystko, w instynkt społeczny czytelnika, ten sam, którego tak zdecydowany brak daje się zauważyć u większości naszych krytyków. Czyż nie temu instynktowi zawdzięczał miłość całej Polski Żeromski, — pisarz, któremu czytelnik wybaczał wszystkie braki? Czyż nie temu, że był zawsze, i pomimo wszystko nietylko entuzjastą Polski, ale i nurkiem, zagłębiającym się nieustraszenie w najczarniejsze otchłanie polskiej współczesności?

Sądzę, że w najbliższej przyszłości ów instynkt czytelnika zatryumfuje, a twórcza krucjata pisarzów polskich nastąpi jeszcze za naszych czasów.

Anatol Stern

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Przed dwoma zaledwie tygodniami na tem miejscu zwracano uwagę opinji publicznej, aby nie żywiła zbyt daleko idących złudzeń z powodu klęski, którą poniósł projekt paktu 4-ech. Dokument ten znikł, przestał, jak gdyby istnieć, ale — pisaliśmy — „nie trzeba być naiwnym i przypuszczać, że ten miły potworek z kancelarji dyplomatycznych zaginął zupełnie; żyje on gdzieś pod jakiemś zielonem suknem i może stamtąd przy lada okazji wyskoczyć". („Epoka" z dn. 14.V. r. b.).

Przykra przepowiednia sprawdziła się rychło: nazajutrz nieomal po mowie kanclerza Hitlera w Reichstagu, a w 2 dni po orędziu prezydenta Roosevelta do 54 państw zaskrzypiały, jak to dawniej mówiono, pióra w kancelarjach dyplomatycznych, zawarczał motor niemieckiego samolotu, zjawił się nad Tybrem hitlerowski factotum p. Göring i już 21 b. m. cały świat dowiedział się, że „potworek" żyje, ma się nawet nieźle i lada dzień ukaże się oficjalnie na świecie, jako „doniosły akt polityczny", który ma zagwarantować sukcesy z konferencji rozbrojeniowej i wielkiej narady ekonomicznej w Londynie.

Jeszcze nie tak dawno rozbrzmiewały w Izbie gmin mowy, z których wynikało logicznie, jak to wysnuł w osobnym wniosku poseł Mander, że wogóle nie można mieć z obecnemi Niemcami do czynienia jako z kontrahentem w żadnej dziedzinie.

Jeszcze niedawno sam Lloyd George — zawsze życzliwy dla Niemiec — mówił: dajcie fair play dla 600.000 Żydów w Niemczech, a my wówczas stworzymy fair play dla 60 miljonów Niemców. Trzeba przyznać, że w tym momencie najostrzejszych antyhitlerowskich wynurzeń rząd francuski milczał, albo ograniczał się do ogólników, o ile nie liczyć frazesu p. Daladier'a o ostatnim okopie wolności w Europie.

Nagle, dekoracja zmienia się. Za kulisami idą rozmowy, krążą noty i wyjaśnienia i zdumiona opinja, nieco uśpiona poprzednią jednolitością frontu, dowiaduje się, że pakt rzymski swoją drogą ma być podpisany.

Cóż wpłynęło na tę nagłą zmianę? Oficjalnie mówi się, że ten cud sprawiła pokojowa mowa kanclerza Hitlera i orędzie Roosevelta.

Prezydent Stanów Zjednoczonych zażądał dowodu, że Europa nie chce bić się i zbroić, uważając, że bez takiego dowodu nie można liczyć na pomyślność prac konferencji ekonomicznej w Londynie. I oto najbardziej podejrzany o awanturnictwo rząd niemiecki w osobie kanclerza Hitlera odezwał się, mówiąc: chcę żyć ze wszystkimi w zgodzie, nawet Polaków nie chcę germanizować, niech i oni sobie żyją po swojemu.

Stany Zjednoczone i rządy mocarstw europejskich wpadły w zachwyt i stąd prosta droga wiedzie do paktu 4-ech. Trudno o bardziej jaskrawy przykład niedołęstwa i niemoralności oficjalnej polityki świata współczesnego. Na pociechę sobie trzeba stwierdzić, że rządy działają tym razem w dużej rozbieżności z opinją swoich społeczeństw.

Nie słyszeliśmy np. aby w angielskiej opinji publicznej zaszedł nagle taki przełom; aby w parę dni po demonstracjach przeciw Rosenbergowi, towarzyszących nieomal, aż do chwili, kiedy opuścił ziemię angielską, nastąpiła radykalna zmiana. Zarówno prasa angielska, jak francuska nie widziały w mowie kanclerza Hitlera dostatecznych podstaw do nabrania ufności dla pacyfizmu kanclerza Rzeszy.

Rządy tych państw też nie robią sobie co do tego złudzeń. Ale istnieje gorączkowa manja zadowolenia życzeń prezydenta Roosevelta: pakt 4-ech w jakiejś nowej redakcji pełnej ogólników, niedomówień i dwuznaczników — to właśnie dzieło tej manji, owoc wiary, że jeszcze jeden papierek o „pokojowej współpracy" stworzy tę współpracę naprawdę.

Zapomniano przytem, że nieomal jednocześnie z Hitlerem przemawiali członkowie jego rządu: von Papen wykreślał pacyfizm ze słownika niemieckiego, a von Neurath dowodził, że Niemcy będą zbroić się niezależnie od uchwał genewskich.

Nie przebrzmiało zresztą jeszcze echo „pokojowych" wynurzeń Hitlera, gdy przemawiali inni.

A więc np. w Sztumie (na Pomorzu pruskiem) prezes miejscowej organizacji hitlerowców d-r Swendonius oświadczył m. in.:

— Nie mamy zamiaru niweczyć mniejszości polskiej w okręgu sztumskim. Ale za to chcemy zniszczyć Polaków i Polskę i osiągniemy to. Prawo przyrody jest takie, że silny niszczy słabszego, przeto młode państwo nacjonal - socjalistyczne urzeczywistni swoje cele i w sprawie polskiej... Nietylko korytarz, Górny Śląsk,

ale także Ryga i Rewel, które były niemieckie, będą znowu niemieckie.

Mniej więcej w tym samym duchu, w tym samym czasie przemawiał prezes frakcji hitlerowskiej w sejmie pruskim p. Kube. Oto jak wyglądają „pokojowe zamiary", z którymi Hitler zasiada do podpisania paktu 4-ech-!

Ci, którzy wraz z nim ten podpis kładą, zamykają oczy na rzeczywistość, byle tylko jeszcze jednym dokumentem swoją pokojowość wobec Stanów Zjednoczonych zaświadczyć. Francji jest to potrzebne, aby dowieść, że jest w stanie porozumieć się z Italją, Mussolini'emu, aby dowieść nieomylności i zwycięskości swojej polityki, Anglji — aby stworzyć pozór, że Mac Donald jest pacyfikatorem świata, a wreszcie Hitlerowi, jako „wytchnienie", w którego okresie przygotuje nowy atak na kulturę i pokój.

W społeczeństwach niema, jak wskazaliśmy, iluzji, co do wartości tego paktu.

Znamienny jest pod tym względem głos bardzo w Polsce nieraz atakowanego prezesa francuskiej Ligi obrony praw człowieka i obywatela d-ra Wiktora Bascha. Ten pacyfista, podejrzewany o germanofilstwo, wystąpił na łamach *„Volontè"*, z gorącym protestem przeciw zjazdowi „Komitetu zbliżenia młodzieży francuskiej i niemieckiej".

P. Basch zawsze popierał takie inicjatywy. Dziś ostrzega, pisząc:

„Jakto, pytałem się sam siebie, czy to jest możliwe, aby młodzież należąca do ugrupowań lewicy mogła wejść w serdeczny kontakt z młodzieżą hitlerowską? Jakże nie budzi w nich odrazy podanie ręki gorliwym entuzjastom Führera, którzy osobiście może brali udział w zbrodniach band hitlerowskich, a w każdym razie nie protestowali przeciw nim i w ten sposób godzili się z nimi. Czyż nie zdała sobie ta nasza młodzież sprawy, że jest to zdrada sprawy demokracji, że jest to zniewaga dla tysięcy Niemców, którzy błądzą dziś po Europie wyzuci z dachu nad głową i środków do życia i wszelkiej nadziei? Czyż nie rozumieją oni, że młodzież niemiecka, z którą teraz trzeba być w kontakcie, to są studenci uchodźcy w Paryżu, Pradze, Zurychu, niewinne ofiary przekonań, lub pochodzenia rasowego?"

W obronie młodzieży francuskiej gotowej do bratania się z młodzieżą hitlerowską wystąpił w *„La Rèpublique"* p. Bertrand de Jouvenel. Jego apologja tego spotkania opiera się na takich przesłankach: czy można wzywać młodzież do wojny przeciw wojnie, do wojny w obronie zagrożonej demokracji?

Nas — pisze on — posyłali na front starcy, mówiąc: to w obronie Alzacji i Lotaryngji, a my mamy posyłać na wojnę nową młodzież, mówiąc: to w obronie ustroju parlamentarnego?

Pacyfizm realny — zdaniem p. B. de Jouvenel'a — któremu hołduje współczesna młodzież, odrzuca wojnę dla takich celów, a więc trzeba porozumieć się i zrozumieć młodzież hitlerowską.

P. de Jouvenel chce w ten sposób znaleźć ideowe usprawiedliwienie dla nastrojów młodego pokolenia, sympatyzującego z ruchami faszystowskiemi.

Wysiłek to daremny, bo ci sami młodzieńcy francuscy ściskający rękę hitlerowców, jako przeciwnicy wojny, napewno są bliżsi ideologji wojennej, niż to p. de Jouvenel'owi wydaje się.

Zrozumieć młodzież, jej nastroje i tendencje — to rzecz bardzo ważna, ale usprawiedliwiać i idealizować wszystkie odruchy, które rodzą się w masach młodzieży współczesnej, wskutek rozwoju wydarzeń zepchniętej z normalnej drogi rozwoju — to zupełny nonsens, prowadzący do apologji zbrodni.

Słusznie pisze w obecnych swoich rozważaniach Emil Ludwig, że w Niemczech ujawniła się teraz z niesłychaną ostrością dysharmonja pomiędzy historją państwa i historją ducha.

W Niemczech może istnieć tak, jak to było w okresie cesarskim, władza zupełnie oddzielona od wybitnych umysłów narodu. W Niemczech niema ani jednego nazwiska, znanego poza granicami Rzeszy, które przyłączyłoby się do ruchu nacjonal-socjalistycznego. Zupełnie inaczej jest we Włoszech, gdzie wśród faszystów są i poeci i filozofowie, mający wartości ogólno-ludzkie. Dlatego to znamy emigrację włoską, wyłącznie polityczną, a z Niemiec mamy emigrację polityczno-kulturalną. I ta emigracja rosnąć będzie z dnia na dzień.

Od 14 kwietnia do 7 maja według obliczeń *„Manchester Guardian"* 220 profesorów i uczonych opuściło pod przymusem bezpośrednim lub pośrednim swoje katedry i pracownie naukowe w Niemczech. Oto emigracja niezwykła, o której we Włoszech mowy nie było.

Dlatego to całkowitą rację ma Victor Basch, gdy ze zdumieniem pyta młodzież francuską, jak może „porozumiewać się" z młodzieżą hitlerowską. I dlatego też wielkiem złudzeniem będzie wszelki pakt, podpisany z rządem Hitlera, o rozbrojeniu, o pokoju, o współpracy ekonomicznej narodów i t. p.

Papier to bez wartości, który nic nie oznacza, żadnych zagadnień międzynarodowych nie rozstrzygnie i autorom jego sławy i honoru nie przysporzy.

St. Gr.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Mieczysławowi K. w Grodnie. „Pamiętniki bezrobotnych", wydane zostały przez Instytut Gospodarstwa Społecznego.

Panu Janowi G. w Łodzi. Wysłaliśmy. Numery okazowe administracja „Epoki" wysyła chętnie pod adresami, wskazanemi przez naszych prenumeratorów.

Panu St. K. M. w Sosnowcu. Nie „na całym świecie". A gdyby nawet reakcja zwyciężyła na „całym świecie", to cóż z tego? Kiedy grozi nam powódź, czy otwieramy krany w naszych mieszkaniach, żeby je zalać?

Panu Leonowi W. w Częstochowie. Do ataków tego rodzaju jesteśmy doskonale przyzwyczajeni. Za miłe słowa dziękujemy.

Pani Zofji Z. w Warszawie. Przeczytamy, zobaczymy. Trochę cierpliwości.

Pani Janinie M. w Warszawie. Nie do druku. Niemożna wciąż odkrywać Ameryki.

Panu Józefowi B. w Płocku. Dziękujemy. Dobrze Pan pisze: „Kto uznaje, że „Epoka" jest pożyteczna, powinien przysparzać jej prenumeratorów".



EPOKA

niezależny posterunek myśli humanitarnej, placówka, broniąca praw człowieka i obywatela, trybuna myśli wolnej i bezpartyjnej, pismo, oświetlające najżywotniejsze sprawy naszych czasów, lektura poważna, przystępna i wszechstronna.

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in.: *Boy-Żeleński, dr. F. Burdecki, Emil Breiter, Jadwiga Baranowska, Helena Boguszewska, prof. Leon Chwistek, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, Tadeusz Garczyński, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Halina Krahelska, Jadwiga Krawczyńska, prof. Edward Lipiński, Henryk Lukrec, dr. Jan Muszkowski, Marja Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski, Kazimiera Muszałówna, dr. Eug. Pragierowa, Wacław Rogowicz, Jerzy Stempowski, Anatol Stern, Andrzej Strug, Janina Strzelecka, dr. Mieczysław Szerer, Leon Wasilewski, Józef Wasowski, Jan Waśniewski, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Józef Wittlin i Roman Zrębowicz.*

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-353 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.